

DUM
ANO
WSKI

DUM
ANO
WSKI
WIT
SZOSTAK



powergraph

Warszawa 2018

Copyright © 2010-2018 by Wit Szostak
Copyright © 2018 by Powergraph
Copyright © 2018 for the cover by Patrycja Podkościelny
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Patrycja Podkościelny
Fotografia autora: Mikołaj Starzyński
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: +48 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-88-2

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA
Printed in Poland, EU

*Dla Ani, Jacka, Łukasza i Szczepana
– z przyjaźnią*

[1]

Wszystkie opisane tu historie wydarzyły się naprawdę, choć nieco inaczej; co jednych może napełnić radością, a innych niewysłowionym żalem.

[2]

Kiedy umarł, płakali wszyscy, choć każdy z innego powodu.

Płakał naród, który utracił wielkiego męża stanu; płakali nieliczni krewni, z trudem przez łzy rekonstruując wątpliwe pokrewieństwo; płakali dawni przyjaciele, wyężdżając swą starczą pamięć w poszukiwaniu cieni wspólnie spędzonych chwil; płakały prawnuki jego znajomych, zdziwione, że odszedł ten, który od wielu lat żył już tylko w legendzie; płakały krakowskie świtezianki, od pokoleń noszące pod sercem ciepłe wspomnienia jego dobroci; płakały wdowy obdarzone niegdyś jego względami, a także dorosłe dzieci owych wdów; płakali wszyscy wyznawcy mitycznego herosa Józafata i jego bohaterskich czynów; płakali dłużnicy i wierzyciele; płakali ministrowie, płakał prezydent, płakali generałowie i pułkownicy; płakał prosty lud, ocierając łzy wśród listopadowych mgieł; płakali biografowie; płakał cały Kraków i cała Polska; płakała osierocona Republika.

[3]

Józafat Dumanowski zmarł rankiem 12 listopada.

Wit Chodnikiewicz, jego sekretarz i opiekun, zamknął wszystkie drzwi w pałacu, odprawił służbę i sam zajął się zwłokami swego umiłowanego pana. Zdjął mokrą od śmiertelnego potu koszulę, rozrywając delikatny materiał, i obmył gąbką to wiotkie ciało, które tyle razy pielęgnował przez ostatnie lata. Mył zwłoki ostrożnie, jakby obawiał się, że cienka niczym bibułka skóra pęknie pod jego dotykiem. Obmywał liczne blizny na ciele Dumanowskiego, w tym tę najświeższą, po kuli zamachowca, która przeszła na wylot pewnego majowego popołudnia, i tę najstarszą, którą od dzieciństwa nosił na łydce jako pamiątkę po ukąszeniu psa. Wit Chodnikiewicz nie płakał, nie rozpaczał, tylko robił to, co uważał za swój obowiązek. Kiedy wylał wodę z miednicy, ubrał ciało Dumanowskiego w granatowy mundur naczelnika i ułożył zwłoki w trumiennej pozycji. Po wszystkim spuścił na okna sypialni ciężkie kotary i zastygł w bezruchu na krześle obok wielkiego łóża.

Byli sami w wielkim pałacu, z zewnątrz dochodziło tylko krakanie gawronów. Chodnikiewicz trwał przy zwłokach, wspominając swą czterdziestoletnią służbę. Myśli wolno krążyły pomiędzy minionymi wydarzeniami. A postać Dumanowskiego traciła kontury w tych wspomnieniach, z wyrazistych obrazów pozostawały tylko strzępy impresji. Chodnikiewicz siedział w skupieniu przez długie godziny. Późnym popołudniem zszedł do kuchni, prowokując swymi krokami zastygłą wokoło ciszę, i sam, przy stole dla służby, zjadł kromkę razowego chleba. Popił wodą, po czym wrócił do sypialni swego pana i dalej trwał na twardym krześle, w półmroku przyglądając się zastygającym zwłokom.

Dopiero kiedy słońce zaszło, wstał ciężko i ruszył do gabinetu, gdzie znajdował się jedyny w całym pałacu telefon. Zakręcił korbką, zażądał połączenia z prezydentem Republiki Krakowskiej, Janem Kantym Federowiczem, i zakomunikował, że Józafat Dumanowski nie żyje.

[4]

Józafat Dumanowski zapadł w pogodny sen, który przeprowadził go do krainy umarłych, zaraz po tym, jak Wit Chodnikiewicz obwieścił mu radosną nowinę o odrodzeniu Rzeczypospolitej Polskiej. Był 11 listopada i do krzeszowskiemu pałacu zadzwonił z Warszawy sam marszałek Piłsudski, który kiedyś przez wiele miesięcy tam się ukrywał, prowadząc z Dumanowskim długie i męczące ich obydwu rozmowy o Polsce.

To stąd wyruszył pociągiem do Krakowa, a potem do Warszawy, by stanąć na czele wyzwolonej Ojczyzny. Wiózł ze sobą błogosławieństwo Ojca Republiki, Józafata Dumanowskiego.

[5]

Nikt nie zna ostatnich słów, które wypowiedział Józafat Dumanowski. Jedyne świadki jego konania zniknęły tuż po pogrzebie i zapewne prawda nigdy nie ujrzy światła dziennego. Wedle jednych Dumanowski miał powiedzieć: „Czuję, jakbym budził się ze snu”; wedle innych: „A jednak!”; wedle jeszcze innych Dumanowski wyszeptał zdziwiony: „A zatem już?”; najczęściej jednak powtarzane było zdanie: „Teraz wszystko będzie jak dawniej”.

Każda z tych niepotwierdzonych wersji obrosła już w dziesiątki interpretacji, a ich egzegeci potrafią o ukrytych znaczeniach i symbolice tych prostych słów dyskutować godzinami. Cokolwiek powiedział na progu śmierci Józafat Dumanowski, na pewno nie mogło to wyrazić prawdy jego życia, które rozciągnęło się na sto dwadzieścia trzy lata.

[6]

Płaczki przyszły drugiego dnia o poranku, prowadzone nieomylnym węchem starych kobiet, które wyczuwają zawiśniętą w powietrzu śmierć. W czarnych chustach wspinały się

do pałacu przez opadły z liści park, przybywając z miasteczka i okolicznych wsi. Wtedy zwłoki Józafata Dumanowskiego wystawione już były na okrytym aksamitem katafalku w opustoszałej sali balowej. Płaczkom podstawiono krzesła i rozpoczęły się lamentacje pogrzebowe, przedchrześcijańskie działy wypłakiwane mocnymi głosami kobiet, które wiedziały, co znaczy śmierć.

Wit Chodnikiewicz, oddzielony od tego teatrum tuzinem grubych drzwi, siedział w gabinecie swego pana i przyjaciela, odbierając wezbraną rzekę telefonów.

[7]

Tego samego ranka pod główne wejście krzeszowickiego pałacu zajechał wóz, na którym leżała przykryta brezentem jasna skrzynia z nieheblowanych desek. Z wozu zeskoczyli milczący mężczyźni w czarnych płaszczach i wnieśli skrzynię do wnętrza pałacu.

Tam oczekiwał na nich Wit Chodnikiewicz, który kazał zanieść pakunek do sali balowej. Kiedy wyjęto gwoździe, zdjęto wieko i boki skrzyni opadły na posadzkę, wszyscy zobaczyli, że w środku znajduje się otulona trocinami szklana trumna. Chodnikiewicz wiedział, że Pałac Republiki zamówił ją wiele lat temu w Murano, niedługo po rezygnacji Józafata Dumanowskiego z funkcji prezydenta. Od tamtej pory, skryta w piwnicach dawnej siedziby Ojca Republiki, kryształowa trumna czekała na dzień, w którym wyda on ostatnie tchnienie.

Chodnikiewicz rozumiał tę zapobiegliwość, lecz nie mógł się powstrzymać od uwagi pod adresem tragarzy:

— A więc czekaliście jak sępy na jego śmierć...

— Panie kochany, co też pan mówi! — odezwał się najstarszy z nich, mnąc w dłoniach czapkę. — Przecież myśmy myśleli, że prezydent Dumanowski już dawno nie żyje. A tu takie nieszcześnie...

[8]

Ciało Ojca Republiki przełożono do kryształowej trumny, nakrywając je przezroczystym wiekiem. Wit Chodnikiewicz, który przyglądał się tym czynnościom w milczeniu, poczuł pod sercem ukłucie, w chwili gdy sarkofag został domknięty. Poczuł, że tafla szkła oddala go od Dumanowskiego, że już nigdy go nie spotka. Podszedł, by po raz ostatni położyć dłoń na jego dłoni, ale czysta jak kryształ szyba powstrzymała ten gest. Cofnął rękę jak oparzony i odszedł szybkim krokiem.

[9]

Następnego dnia o poranku przewieziono ciało prezydenta do Krakowa. Najpierw uroczysty kondukt odprowadził karawan z trumną na stację kolejową w Krzeszowicach. Tam przeniesiono trumnę na specjalnie przygotowaną platformę, gdzie spoczęła otoczona wieńcami z białych kalii. Pociąg ruszył powoli, a na trasie jego przejazdu zebrała się okoliczna ludność, ubrana na czarno i śpiewająca żałobne pieśni. Kobiety wspierały się na silnych ramionach mężów, dzieci szukały rąk matek. Cały naród płakał po Ojcu Republiki. Pociąg wolno przejechał przez stacje w Rudawie, Zabierzowie, Mydlnikach i Łobzowie, aż wtoczył się na pierwszy peron krakowskiego dworca. Tam na trumnę czekały władze Krakowa, ubrani odświętnie ministrowie z prezydentem Janem Kantym Federowiczem na czele, który mimo chłodnego dnia przybył na dworzec w samym tylko uroczystym fraku, przepasany błękitną Wstęgą Republiki, zmarznięty i smutny.

Niemal wszyscy uczestniczący w tej smutnej ceremonii dygnitarze przeziębili się i z trudem uczestniczyli w późniejszych uroczystościach, co chwila wstydliwie siąkając czerwone nosy i przerywając atakami kaszlu przemówienia i funeralne rytuały.

[10]

Trumnę z ciałem Józafata Dumanowskiego wystawiono w westybulu Pałacu Republiki, by każdy krakowianin i Polak mógł oddać hołd temu wielkiemu człowiekowi. Na placu Republiki ustawiła się długa kolejka, która sięgała aż do Barbakanu. Ludzie w niej stojący rozmawiali, wspominali, cytowali fragmenty mów prezydenta Dumanowskiego. Matki opowiadały dzieciom o tym niezwykłym człowieku, babki wspominały lata jego długiej prezydentury.

Wzdłuż kolejki zaczęli się ustawiać handlarze kocami, sprzedawcy bułek i wędzonych ryb, dla pielgrzymów rozstawiono na Plantach wielkie namioty, a krakowianie chętnie proponowali przyjezdnym nocleg w swoich domach.

Tymczasem w mieście trwały przygotowania do uroczystego pogrzebu.

[11]

To nie był najlepszy czas na uroczyste pogrzeby, ale trudno było oczekiwać, że sędziwy starzec wstrzyma się ze śmiercią jeszcze przez jakiś czas. Byłoby natomiast korzystniej, szepotali krakowianie, gdyby Józafat Dumanowski zakończył swój i tak długi żywot przed księciobójczym czynem Gawriły Prinzipa. Wtedy byłaby jakaś nadzieja, że na egzekwiach Ojca Republiki pojawią się władcy całej Europy.

Jednak w listopadzie roku 1918 Europa miała inne problemy niż pogrzeb starca, który przed półwieczem triumfalnie wjechał do Krakowa, proklamując nieco groteskową Republikę. Dlatego zamiast zagranicznych delegacji do Krakowa spływały depecze z usprawiedliwieniami nieobecności. Lista oczekiwanych pod Wawelem gości kurczyła się z godziny na godzinę, dlatego nie od rzeczy był pomysł, by przekształcić ceremonię w manifestację patriotyczną, która u progu polskiej niepodległości stworzy trwały symbol wolności.

Wyciągnięto więc ze strychów, kufrów i skrytek pod podłogami nadgryzione przez mole sztandary, rozesłano wici do wszystkich żyjących weteranów powstań i zrywów, cerowano pachnące naftaliną mundury. Wszystko to zapowiadało, że kondukt podążający za szklaną trumną ze zwłokami Józafata Dumanowskiego będzie wyglądał jak marsz widmowych rot, które powstały ze swych zbiorowych mogił, by oddać cześć sędziwemu patriotcie.

[12]

Józafat Dumanowski żył na tyle długo, by móc objąć pamięcią liczne zmiany, które przeobraziły Kraków w XIX wieku. Za jego życia wyburzono średniowieczne mury, w ich miejscu wytyczono alejki spacerowe i posadzono drzewa oraz krzewy; zburzono też kilka zrujnowanych kościołów, do których Józafat chodził w czasach swej młodości, a po których zostały w mieście jasne place; zasypano starorzecze Wisły, niegdyś oddzielającej Kazimierz od Krakowa, i wytyczono tam jedną z najbardziej okazałych miejskich arterii; zbudowano Nowe Miasto, które swą potęgą i wielkością przyćmiło przyczajony nieopodal średniowieczny gród; powstały budowle i nowe dzielnice, na ulice wyjechały kolorowe tramwaje, których sieć pokryła Kraków niczym pajęczyna; przyłączono dawne przedmieścia, niemal pięciokrotnie zwiększając powierzchnię miasta; zbudowano elektrownię, miejskie wodociągi, koleją połączono Kraków z największymi miastami Europy.

A nad tymi wszystkimi zmianami, które mozolnie przekształcały miasto przez całe stulecie, czuwał Józafat Dumanowski, ze swej wiekowej perspektywy ogarniając procesy, które zazwyczaj umykają zwykłym ludziom.

Mógł się czuć jak przedwieczny bóg, który widzi narodziny gór i ich późniejsze kruszenie; czy tak czuł się w rzeczywistości Józafat Dumanowski, tego nie wiedział nawet Wit Chodnikiewicz, o którym mówiono, że wie o Ojcu Republiki wszystko.

[13]

Za życia Józafata Dumanowskiego Kraków był częścią wolnej Polski, potem wolnym miastem, podarowanym Polakom przez zaborców na otarcie łez, następnie stolicą Księstwa Krakowskiego, rządzonego arystokratyczną ręką księcia Adama Czartoryskiego, wreszcie stolicą Republiki Krakowskiej, na której czele przez trzy dekady stał sam Józafat Dumanowski, by w końcu znów powrócić do odradzającej się po Wielkiej Wojnie Rzeczypospolitej.

Kolejne dekady i zmiany przepływały jak nurt leniwej rzeki, a mimo nich trwał Józafat Dumanowski. Który Kraków był mu najbliższy, w jakim Krakowie czuł się jak w domu? Być może Wit Chodnikiewicz znał odpowiedź na to pytanie, ale zachował tę tajemnicę dla siebie.

[14]

Wszyscy w Krakowie pamiętali, co wydarzyło się w lecie roku 1861, kiedy Józafat Dumanowski powrócił triumfalnie z wieloletniego wygnania, by ogłosić krakowianom Republikę. Jeśli nawet zapomnieli, nie zapomniwały książki i stare kroniki. A ci, co pamiętali, przekazali to swoim dzieciom i wnukom.

Dumanowski wjechał do Krakowa witany przez mieszczan, dla których był żyjącym w ukryciu bohaterem i wybawcą. Spokojnie pozdrawiał tłumy i wraz z młodymi rewolucjonistami, którzy go otaczali, ruszył do Ratusza. Tam czekali już rajcy miejsy, stłoczeni wraz z Senatem Księstwa.

Obradowali przez kilka godzin, a zgromadzeni na płycie Rynku krakowianie przepowiadali wyniki rozmów, śledząc grę cieni, które przesuwwały się za miodowymi szybkami sali obrad. Słońce już zaszło, lecz tłum na Rynku nie rozchodził się. Każdy czuł, że uczestniczy w czymś doniosłym, tylko nie wiedział, co to takiego jest. Ale sama atmosfera przesilenia wystarczała. Rzemieślnicy nie wracali do swych domów, godząc się z tym, że następnego dnia nie zdołają otworzyć

swych warsztatów. Kupcy machnęli ręką na przyszły dzień pracy i tak po kolei wszyscy zgromadzeni wybrali obecność w miejscu, gdzie rodziła się historia. Gdzieś za ich plecami zostały niezalatwione sprawy, czekające żony i dzieci, gdzieś poza Rynkiem toczyło się nieczułe na przełomy dziejów życie.

[15]

Wreszcie otwarły się drzwi balkonu ratuszowego i stanął w nich Józafat Dumanowski w granatowym mundurze naczelnika, błyskając mosiężnymi guzikami. Za nim tłoczyli się rewolucjoniści, rajcy i senatorowie, wszyscy zmęczeni, ale zarazem spokojni i radośni. Dumanowski pozdrowił tłumy i z uczuciem triumfu rozejrzał się po wypełnionym szczelnie placu.

— Obywatele! — zaczął, a jego głos niósł się dźwięcznie.
— Mamy Republikę! Niech żyje Republika Krakowska!

Tłum zaczął wiwatować, w górę wystrzeliły czapki, ludzie klaskali i zaczęli śpiewać patriotyczne pieśni. Ale Józafat Dumanowski uciszył krakowian jednym gestem i wszyscy zamilkli.

Wtedy musiał poczuć, że ma władzę. Stał przez chwilę uśmiechnięty, jakby chciał ogarnąć wszystkich zebranych ludzi. I przemówił spokojnie, bez krzyku. Mówił, że Kraków jest niewielki i najprawdopodobniej nie odegra żadnej roli w dziejach Europy. Ale jest silny swoimi obywatelami. Jest republiką, w której wszyscy obywatele się znają, dlatego mogą poczuć tę więź wspólnoty, bez której prawdziwa republika jest niemożliwa.

— Wszyscy czujemy, że na naszych oczach wydarza się coś niezwykłego. Nasz dom staje się naprawdę domem, możemy poczuć za niego odpowiedzialność i zbudować wokół niego prawdziwą wspólnotę. Losy Krakowa nie są nam obojętne, bo sami chodzimy po ulicach tego miasta i wiemy, co to znaczy wspólna sprawa. Może Republika Krakowska

jest najmniejszą republiką na świecie. Ale może właśnie dlatego ma szanse stać się prawdziwą republiką, rzeczą wspólną wszystkich obywateli! — zakończył.

Wiwatom nie było końca. Józafat Dumanowski oparł się o kamienną balustradę i oddychał ciężko. Nigdy tak nie przemawiał, nigdy nie mówił do ludzi. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Wielokrotnie potem powtarzał, że nie pamięta ani jednego słowa z tamtego przemówienia. Same na niego spłynęły, kiedy zobaczył morze twarzy, które wpatrywały się w niego i oczekiwały, by zabrał głos.

[16]

Kiedy tłum ucichł, dwaj senatorowie podnieśli w górę ręce Dumanowskiego.

— Mamy Republikę i mamy prezydenta Republiki! — zakrzyknęli.

— Wiwat Dumanowski! Wiwat prezydent! — odpowiedział tłum.

I tak zaczęła się dla Krakowa nowa epoka, a jej ojcem został nieoczekiwanie dla siebie Józafat Dumanowski, który nie tak dawno porzucił swoje skromne obowiązki naczelnika stacji i dając się uwieść młodym rewolucjonistom, wjechał do miasta na białym rumaku.

Tamtego dnia Kraków nie spał. Ludzie bawili się do rana, a o wschodzie Słońca poszli do swych warsztatów, do swych straganów i urzędów, by zająć się własnymi sprawami. Taki dzień nigdy nie powtórzył się w tym mieście.

[17]

Przemówienie z sierpniowej nocy przeszło do historii i było pierwszym z wielu podobnych, z którymi Józafat Dumanowski zwracał się do obywateli. A ratuszowy balkon był pierwszym z balkonów, z których przemawiał. Odkąd odkrył, jakim narokotykiem jest moc uwodzenia tłumu, chętnie wygłaszał orędy, odczytywał oświadczenia i składał życzenia. W Pałacu

Republiki kazał zbudować okazały balkon, z którego często korzystał w czasie uroczystości państwowych. Liczył też, że jeszcze kiedyś spłynie na niego łaska podobna do tej z owej sierpniowej nocy: że będzie mówił do ludzi słowa, których sam nie ułożył, a one będą się przez niego przelewać.

Tamta chwila nigdy jednak nie powróciła. Schował ją więc do zielnika swej pamięci i choć zaglądał do niego często, chwila uschła, pożółkła i w końcu straciła barwy. Po latach wydała mu się nawet całkiem zwyczajna i jedyne, co zapamiętał, to przeraźliwe napięcie pęcherza, którego potrzebom nie wypadło ulżyć przez kilka godzin.

[18]

Jeden z biografów Józafata Dumanowskiego, obdarzony intuicją i fantazją, acz pozbawiony niestety niezbędnej w tej pracy skrupulatności i cierpliwości Kajetan Kogucki, tak opisywał postać Ojca Republiki:

„Był wysoki, choć zarazem niski; potężny, ale też na swój sposób drobny; przystojny, choć daleko mu było do pięknych rysów; ujmujący, ale zarazem szorstki; kulturalny wobec dam, ale też potrafiący rzucić grubym słowem; gruntownie wykształcony, acz prosty w sądach; obdarzony charyzmą, która wybijała go ponad przeciętność, ale też dzięki swej zwyczajności posiadający szczególny dar zniknięcia w tłumie. Taki właśnie był Józafat Dumanowski”.

Tę jakże trafną i zwięzłą charakterystykę Kajetan Kogucki zanotował we wstępie do swego dwutomowego dzieła, zatytułowanego bezpretensjonalnie *Ojciec Republiki, jakim go znałem*.

[19]

Józafat Dumanowski kilka dni po przemówieniu z ratuszowego balkonu został uroczyście zaprzysiężony na prezydenta Republiki Krakowskiej. Odtąd Senat wybierał go na tę funkcję jeszcze sześć razy; rządził Republiką ponad trzydzieści

lat i odszedł na własne życzenie. W tym czasie ożenił się, owdowiał i przekroczył setny rok życia. Nikt nie mówił o nim inaczej jak „Ojciec Republiki”, choć on po cichu żałował, że nie ma już wśród żywych ludzi, którzy zwracali się do niego „Józafacie drogi!”. Tych brakowało mu najbardziej.

[20]

Pewien kupiec zapytał raz Józafata Dumanowskiego:

- Panie prezydencie, gdzie jest Polska?
- Tutaj — odparł Dumanowski.
- Gdzie tutaj?
- Tutaj — powtórzył zmęczony prezydent Republiki.

[21]

W jednej z najstarszych pracowni fotograficznych w Krakowie, zajmującej skromne biuro w oficynie kamienicy przy ulicy Zielonej, zachowały się trzy portrety Józafata Dumanowskiego. Kolejne pokolenia pracującej tam rodziny Hochsteinów, które swoim synom nadawały nieodmiennie imię Zygmunt, co kilkadziesiąt lat utrwały zmieniające się oblicze Dumanowskiego. Fotografie te wyróżniają się spośród wielu, które robiono Ojcu Republiki. Jest w nich artyzm i pietyzm dawnych zdjęć, które nie tylko pokazują upozowaną do portretu twarz, ale potrafią odsłonić dno ludzkiej duszy. Każdy z portretów pokazuje innego Dumanowskiego, ale jest też wykonany ręką innego artysty.

[22]

Pewien szlachcic przez rok zabiegał o spotkanie z Dumanowskim. Kiedy wreszcie dostał pismo z Kancelarii Prezydenta, że Ojciec Republiki może go przyjąć, wystroił się w okazały kontusz po swym dziadku, założył spłowiełą konfederatkę po pradziadku, do pasa słuckiego po prapradziadku przypiął szablę po teściu i ruszył do pałacu. Długo szedł przez marmurowe korytarze, na których końcu w wielkim fotelu siedział

zmęczony prezydent. Szlachcic pokłonił się Dumanowskiemu i zadał jedno pytanie, które dręczyło go od lat:

— Kiedy będzie Polska?

Prezydent Republiki podniósł na niego wzrok i odpowiedział spokojnie:

— A kiedy waćpan sobie życzy?

Szlachcic pokłonił się i odszedł, zasmucony.

[23]

Na pierwszym portrecie, wykonanym przez Zygmunta Hochsteina Pierwszego w latach trzydziestych, widać młodego i śmiałego ministra w gabinecie księcia Czartoryskiego. Józafat Dumanowski odziany jest w dwurzędowy surdut, zapięty pod samą szyję. Długie włosy zaczesane ma do góry i patrzy hardo w obiektyw. Na pierwszy rzut oka widać w nim ufne w swoją moc dandysa. Jednak portret, wykonany jeszcze w technice dagerotypu, ma swoje drugie dno. Dumanowski z każdym spojrzeniem widza staje się coraz bardziej samotny i smutny. Wyzywające spojrzenie maskuje jego bezradność, którą widać w niezadarnym ułożeniu rąk i zaciśniętych ustach. Każda kolejna chwila spędzona przed portretem pozwala stwierdzić, że to ten drugi Dumanowski jest prawdziwy.

[24]

W Świąto Republiki prezydent zgodził się przyjąć delegację uczniów z Kielecczyny, przyprowadzonych przed jego zatroskane oblicze przez szarą, ale ideową nauczycielkę. Dumanowski przyjął bukiet świętokrzyskich kwiatów, które zdążyły nieco przywiędnąć, wytrzęsione w powozie, ucałował w czoło ubrane w galowe mundurki dzieci, a na końcu ze skrzepowaniem podźwignął z kolan nauczycielkę, która upadła przed nim i zaczęła całować jego dłoń. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, ta kobieta, która dla wiejskiej diatwy

poświęciła wszystko, która potajemnie nauczała chłopskich synów polskich pieśni patriotycznych, zapytała:

— Panie prezydencie, jaka będzie ta Polska?

— Na miarę naszych możliwości, droga pani, na miarę możliwości — odparł, po czym kazał swemu sekretarzowi wręczyć każdemu z uczniów ilustrowany przewodnik po ziemi chrzanowskiej.

[25]

Drugi portret, wykonany przez Zygmunta Hochsteina Drugiego, pochodzi z późniejszego okresu. Dumanowski siedzi, jego twarz jest poważniejsza niż na pochodzącym sprzed niemal czterdziestu lat dagerotypie. To czasy jego największego triumfu, gdyż zdjęcie zostało zrobione w latach siedemdziesiątych. Widać wielkiego Ojca Republiki, który stoi na początku długiej drogi, z twarzą mądrze naznaczoną wieloletnim doświadczeniem. Kochany przez ludzi, szczęśliwy, spełniony. Wydaje się, że w jego obliczu dominuje radość i duma: oto przetrwał wygnanie, zmienił historię Krakowa i sprawiedliwie gospodarzy Republice. Jednak znów uważne spojrzenie wychwyci na jego twarzy grymasy, które pod znaną obywatelom Republiki Krakowskiej maską ujawniają prawdziwe oblicze prezydenta. I każde kolejne spojrzenie pozwala utwierdzić się w przekonaniu, że podstawowym doświadczeniem fotografowanego Józafata Dumanowskiego jest nuda. Jest znudzony oficjalnymi ceremoniami i rytuałami władzy, jest znudzony powtarzalnością dziejów, w których nie pojawia się nic nowego; jest znudzony sobą, zaczyna być znudzony życiem. Radość i spełnienie zakrywają czającą się na dnie oczu pustkę.

[26]

Kajetan Kogucki najprawdopodobniej nigdy nie spotkał Józafata Dumanowskiego. Urodził się rok po zamachu na Ojca Republiki i nic nie wiadomo o tym, by odwiedzał sędzi-

wego męża stanu w jego krzeszowickiej pustelni. Zresztą nawet gdyby odwiedzał, nie znalazło to wyrazu w jego dziele, gdyż ostatni rozdział biografii *Ojciec Republiki, jakim go znamy* kończy się w momencie, gdy Józafat Dumanowski składa dymisję.

[27]

Ostatni portret, dzieło Zygmunta Hochsteina Trzeciego, wykonano już w Krzeszowicach. Ponadstuletni Dumanowski siedzi na swym krześle na kółkach, nogi ma otulone pledem. Po raz pierwszy tło nie jest ustawioną w studiu dekoracją, tylko widać prześwietlone słońcem kwatery balkonowych drzwi. Dumanowski jest stary, jego twarz zmieniła się od ostatniego zdjęcia i na pierwszy rzut oka trudno odnaleźć w tym starcu dumnego mężczyznę z drugiego portretu. Zmarszczki wyglądają jak żłobione dłutem, na twarzy kładą się długie cienie. Józafat Dumanowski uważnie wpatruje się w obiektyw, czego nie widać na wcześniejszych portretach. Wygląda, jakby całą swoją starczą siłę włożył w to spojrzenie. Na twarzy rysuje się sprawiająca ból koncentracja. Na dnie zmęczonych oczu czai się szaleństwo.

[28]

O pochodzeniu Józafata Dumanowskiego mówią wszystkie poważne encyklopedie. Te niepoważne należy spalić.

[29]

Z narodzeniem Józafata Dumanowskiego było tak.

Wedle jednej z wersji, najczęściej podtrzymywanej przez Ojca Republiki, urodził się on w roku 1795, w przeddzień III rozbioru naszej ukochanej Ojczyzny, na Podolu, w powiecie lityńskim, we wsi Czerniatyn. Dzień już się pochylał, kiedy matka jego wydała ostatni krzyk boleści i wkrótce nad tonącym w półmroku światem zapłakał mały Józafat. Najprawdopodobniej był ostatnim noworodkiem powitym za

wolnej Polski, gdyż następnego dnia monarchowie Świętego Przymierza przypieczętowali jej definitywny rozkład. Stąd oficjalne urodziny Dumanowskiego były w okresie Republiki obchodzone 23 października.

[30]

Wedle innej wersji pierwszy krzyk męznego Józafata rozległ się o świcie 3 maja 1791 roku, zwiastując jutrzeńkę nadziei. Tego samego dnia w Warszawie posłowie uchwalili Konstytucję i pełni euforii wynieśli króla Stasia na rękach, o czym zaświadczały liczne obrazy z epoki. Wśród posłów Sejmu Wielkiego był Hipolit Dumanowski, rodzic Józafata. Podczas gdy w rodzinnym majątku na Podolu cieszący się z narodzin pierworodnego syna Hipolita, w odległej o wiele mil Warszawie Hipolit cieszył się z innego dziecka. Była nim jednak nie konstytucja, lecz powitana tego samego dnia córeczka, owoc grzesznego związku z powabną mieszczką warszawską. W annałach nie zachowało się imię przyrodniej siostry Dumanowskiego, choć istnieją poszlaki, że osoba ta w wiele lat później starała się nawiązać kontakt ze swym nieznanym bratem. Ponoć przybyła nawet do Krakowa, jako stara i doświadczona życiem matrona, by prosić Józafata, wówczas już prezydenta Republiki, o skromny zasiłek dla wdowy po zesłańcu. Czy do spotkania doszło, czy Józafat Dumanowski poznał siostrę i wspomógł ją swą szczodrością, tego nie udało się ustalić. Wiadomo natomiast, że Hipolit Dumanowski nigdy nie zobaczył syna, gdyż pijany szczęściem i okowitą, zginął o poranku 4 maja na warszawskiej ulicy pod kołami rozpędzonego powozu. Jego skromny, zapomniany grób po dziś dzień niszczyje na warszawskich Powązkach.

[31]

Wedle trzeciej wersji Józafat Dumanowski narodził się z nieznanego ojca i polskiej szlachcianki w dzień wiktorii

raclawickiej. Jego matka dała mu swe panięskie nazwisko i ślubowała, że nikomu i pod żadnym pozorem nie wyjawia imienia ojca swego dziecka. Słowa dotrzymała. Niedalekie odgłosy armatnich wystrzałów i przeraźliwy jęk postawionych na sztorc kos przyśpieszyły akcję porodową. Kiedy Kościuszko wygrał bitwę, na noc zatrzymał się we dworze, gdzie otoczona rodzicami młoda szlachcianka karmiła niemowlę. Naczelnika bardzo wzruszyła koincydencja jego zbrojnego czynu i cudu narodzin nowego Polaka, dlatego ze łzami w oczach zgodził się zostać ojcem chrzestnym dziecka. Stąd w niektórych dokumentach stoi, że pełne miano Ojca Republiki to Józafat Tadeusz Dumanowski.

[32]

Istnieją też różne opowieści o dzieciństwie Józafata Dumanowskiego. Biografom i historykom po dziś dzień nie udało się ustalić, która z nich jest prawdziwa. Kajetan Kogucki w jednej ze swych bezprzykładnych intelektualnych szarż nie wyklucza możliwości, że naprawdę wydarzyły się one wszystkie, i to równocześnie.

[33]

Jedna z opowieści mówi, że mały Józafat wychował się w Czerniatynie na Podolu. Jego ojciec, kapitan Dumanowski, walczył pod Kościuszką i znalazł chwalebną śmierć w boju, przysparzając tym swej rodzinie wielu kłopotów. Matka małego Józafata musiała stawić czoła wyzwaniom, na które nie była przygotowana. Wydzierżawiła niewielkie gospodarstwo i dzielnie walczyła z przeciwnościami losu. Mały Józafat rósł aż miło, a ponieważ był dzieckiem nad wyraz zdolnym, matka szykowała mu przyszłość inną niż swój własny los. Chciała, by syn się kształcił i doszedł do czegoś w życiu. Wysłała go tedy na nauki do krzemienieckiego liceum.

Kiedy odjeżdżał, żegnając się z kapitanową Dumanowską, żadne z nich nie wiedziało, że Józafat nigdy nie wróci do

rodzinnego domu. Po szkole wstąpił na Uniwersytet Wileński i tam kształcił się na Fakultecie Filozoficznym. Z Wilna niedaleko było do Królewca, gdzie jeszcze nie tak dawno wykładał Immanuel Kant. Dumanowskiego jednak uwiódł do reszty Hegel, więc kiedy w czerwcu 1812 roku armia Napoleona przeszła przez Wilno, trudno się dziwić, że młody student, porwany przez ducha dziejowego, dołączył do wojsk maszerujących na Moskwę.

[34]

Józafat Dumanowski niechętnie opowiadał o kampanii rosyjskiej. Zmuszony do wspomnień, pocierał palcami nasadę nosa i zaczynał mówić bezbarwnym głosem:

— A cóż tu jest do opowiadania? Maszerowaliśmy, stawaliśmy, rozbijaliśmy obóz, potem znowu ruszaliśmy dalej, atakowaliśmy, strzelaliśmy, zabijaliśmy, wycofywaliśmy się, znów maszerowaliśmy; marzliśmy, grzaliśmy ręce nad ogniem, szukaliśmy jedzenia, w końcu zawróciliśmy na zachód. O czym tu opowiadać?

[35]

Duch dziejowy wypuł młodego porucznika Dumanowskiego w listopadzie roku 1812. Wraz z nim wypuł też innego porucznika, Kacpra Chodnikiewicza. Dwaj towarzysze broni, złączeni na lata przyjaźnią, odłączyli się od wracających oddziałów, zakopali swoją broń i mundury i postanowili zagubić się w Litwie. Rozbita armia Napoleona wracała do Francji i dowódcom nie w głowie było uganiać się za dezertarami. Mimo to Dumanowski z Chodnikiewiczem postanowili przeczekać, obawiając się jednocześnie, że złapać ich mogą Rosjanie.

W nagłym przebłysku wymyślili, że ukryją się pod zakonnymi habitami, udając bernardyńskich kwestarzy. Przebranie to zapewniało im bezpieczeństwo, ale też utrudniało życie. Szybko zorientowali się, że w polatanych habitach nie mogą

uganiać się nawet za litewskimi wieśniaczkami, a co dopiero za szlachciankami, do których śmiały im się oczy.

Jednego razu, kiedy kwestowali w jakimś zaścianku, postanowili zaryzykować i wyznali gospodarzowi podupadłego dworku, że w gruncie rzeczy nie są braćmi zakonnymi, tylko ukrywają swoją tożsamość po to, by móc realizować tajną misję, powierzoną im przez Napoleona. Otóż odwrót Bonapartego miał charakter taktyczny, by uspić czujność Rosjan. Cesarz Francuzów miał przeorganizować szyki i uderzyć na Rosję w momencie, w którym ta najmniej spodziewa się ataku. I wtedy potrzebna mu będzie pomoc dzielnej polskiej szlachty, z której sformowane zostaną nowe legiony, dowodzone przez polskich generałów. A Józefat i Kacper są jednymi z wielu tajnych emisariuszy rozsianych po całej Litwie, którzy mają w tej sekretnej misji dopomóc.

[36]

Józefat Dumanowski i Kacper Chodnikiewicz szybko się zorientowali, że to niewinne kłamstwo otwiera wiele drzwi i odtąd wędrowali od majątku do majątku, poprzedzani swoją legendą. Wszędzie znajdowali goścień, a rychło się okazało, że dla wielu dziewcząt młodość skryta pod habitem jest odurzającym afrodyzjakiem. Dlatego przyjmowani byli bardziej niż przychylnie, prowadząc tajne działania nie tylko na tyłach wroga, ale też na tyłach swoich gospodarzy.

Kariera braciszków-poruczników zapewne trwałaby jeszcze czas jakiś i być może zakończyłaby się wżenieniem się kóregoś z nich w jeden z podupadłych rodów, jednak nadszedł październik roku 1813, a wraz z nim wieści o bitwie narodów pod Lipskiem. Tajna misja polityczna została w ten sposób zakończona, a dwaj przyjaciele zostali szczerze wyposażeni na długą podróż do Francji i czule pożegnani przez córy litewskich lasów. Z żalem opuszczali na pokładzie kupieckiego statku port w Lipawie, pozostawiając za sobą zakopane mundury, ukryte pieczęłowicie habity i szlak złamanych serc.